

Krzysztof Hejwowski, *Kognitywno-komunikacyjna teoria przekładu*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004, s. 198, cena 25 zł

Napisać zrozumiałą dla każdego studenta książkę o najczęstszych problemach, z jakimi ma do czynienia tłumacz, nie jest rzeczą łatwą, czego dowodem kilka „kiksów” wydawniczych w ostatnich latach. Tym większe brawa należą się Krzysztofowi Hejwowskiemu (dalej: K. H.), angliście, praktykowi i teoretykowi przekładu, za książkę w tym miejscu recenzowaną. Jej tytuł brzmi dość napuszenie i może odstraszać potencjalnego czytelnika, co byłoby z wielką dlań szkodą, gdyż aspekt praktyczny jest w książce najważniejszy, a treści teoretyczne podane w sposób naprawdę przystępny. Książka niemal w ogóle nie zawiera stwierdzeń, z którymi niepodobna byłoby się zgodzić, znajdziemy w niej natomiast mnóstwo spostrzeżeń – i szerszych uogólnień – niezwykle trafnych, prowokujących do natychmiastowego „optaszkania” tekstu pochwalnymi uwagami oraz przykładami z własnej praktyki tłumaczeniowej. Dokonajmy więc chronologicznego przeglądu tez i uwag Autora, wypunktujmy je i wzmocnijmy.

Osiem rozdziałów, z jakich składa się *Teoria...*, traktuje o mitach, krążących (czytaj: pokutujących) na temat tłumaczenia, z którymi Autor się nie zgadza. Skądinąd już w krótkim wstępie wspomina o micie pierwszym, jakoby między tłumaczeniem tekstów literackich a pozostałych istniała jakaś przepaść, a przecież istota procesu tłumaczenia jest taka sama.

1. W porównaniu z dalszymi rozdziałami, najbardziej teoretyczny jest rozdział I, traktujący o „micie nieprzekładalności absolutnej”. K. H. Przeciwstawia w nim skrajną wersję hipotezy Sapira–Whorfa podejściu realistycznemu (tłumaczenia tekstów istnieją i niezłe funkcjonują), ale także: teoretycznemu założeniu względnego podobieństwa struktur mentalnych i językowych; pojmowaniu znaczenia jako właściwości ludzkiego umysłu, a nie danego języka (s. 17); tezie, zgodnie z którą znaczenie jest czymś, co odbiorca [resp. tłumacz] dopiero rekonstruuje.

2. Mit tłumaczenia dosłownego. – Autor rozprawia się tu z przedziwnymi poglądami znakomitego pisarza Vladimira Nabokova, który jak wiadomo odnosił się bardzo nieufnie do przekładów. Przekłady, jakie postulował Nabokov, określa K. H. jako dosłowne lub, ściślej, interlinearne (coś w rodzaju filologicznego ćwiczenia paratranslatorskiego – J. P.). Jeśli chodzi o takie wnioski Nabokova, jak ten, że „nie da się przetłumaczyć *Oniegina* rymowanym wierszem”, rozprawia się z nimi Autor bez większego trudu (s. 25); polecałbym w tym kontekście sporo tekstów Stanisława Barańczaka z tomu *Ocalone w tłumaczeniu*, gdyż po tej lekturze nikt już nie zechce czytać przekładów poematu Puszkina inaczej, jak rymowanym wierszem właśnie – przynajmniej w językach, w których literacki efekt rymu istnieje.

2a. W tym samym rozdziale K. H. poddaje słusznej krytyce „mit słownika”. Nie jest to walka z cieniem, gdyż studenci naprawdę są przekonani, iż słowniki dwujęzyczne podają nam gotowe ekwiwalenty tłumaczeniowe, które należy wyjąć ze słownika i wstawić do tekstu. Abstrahuję tu od słowników kiepskich, podających często jawnie fałszywe odpowiedniki (spuśćmy *miser cordiae velamen* na autorów i tytuły), chodzi bowiem o słowniki dobre, które przecież nie mogą podać wszystkich ekwiwalentów dla wyrazów, jakie czytelnik czy tłumacz znajdą w uwarunkowaniu kontekstowym. Hejwowski pisze więc *explicite*, że „ekwiwalenty znalezione w słownikach dwujęzycznych trzeba weryfikować za pomocą różnych słowników monolingwalnych” (s. 30). Jako romanista przywołam w tym miejscu franc. czasownik *plaider*, dla którego nie sposób podać wszystkich ekwiwalentów kontekstowych w największym nawet słowniku francusko-polskim; nie znam oczywiście ich wszystkich, skoro nie znam wszystkich potencjalnych kontekstów. Przykład *plaider* – czasownik ten najczęściej pojawia się jako termin (mimo to wieloznaczny!) w tekstach prawniczych – doskonale ilustruje czy uzupełnia trafną obserwację (s. 31), iż nawet w przypadku terminologii czy nomenklatury nie mamy do czynienia z bezproblemową ekwiwalencją. Najlepiej więc mówić tłumaczom *in spe*: Kochani, wasz przekład zaczyna się tam, gdzie poddał się słownik. Autor ponadto świetnie zdaje sobie sprawę, że nabożne podejście do słowników może rodzić przekonanie o możliwości dokonywania dobrych tłumaczeń przez komputery, pozbawione przecież, jak pisze, „ludzkiej wiedzy o świecie”.

3. Rozprawienie się przez K. H. z mitem tłumaczenia funkcjonalnego przynosi nam nowy ogląd sprawy niby już na dobre „odfajkowanej”. O co chodzi, ilustruje klasyczny przykład E. A. Nidy o „rybie naszej powszedniej” z Biblii w językach eskimoskich. A chodzi o możliwość upokorzenia ludzi, którym ofiarowano „inną, uproszczoną Biblię” (s. 39), z chwilą gdy owi ludzie zdobędą wykształcenie i znajomość języka lub języków obcych.

4. Autor uważa za rzecz niewątpliwą, iż „przekład nie jest tłumaczeniem tekstu” (ani, *a fortiori*, języka), choć to celowo paradoksalne sformułowanie nie pochodzi od niego. Tłumacze swą pracą dowodzą od dziesięcioleci (stuleci), że o tym wiedzą. Kimże był Boy jako tłumacz, jeśli nie kognitywistą *avant la lettre*? Mniejsza o to, że naśmiewał się z teoretyków przekładu (i komizmu), skoro w praktyce, być może nieraz bezwiednie, do ich postulatów się stosował. W rozdziale o „miecie tekstualizmu” najważniejsze jest to, iż – mówiąc słowami recenzenta – teorie przekładu ewoluują: od „operacji na językach” (np. klasyczna już praca Vinaya i Darbelnet’a, niezależnie od jej nieprzemijających wartości), poprzez „operację na tekstach” do „operacji na umysłach”. Wiele jest w tej części książki świetnych obserwacji, weźmy na przykład: 1) tę ze s. 56, o skrzywieniu zawodowym tłumaczy, którzy „czytając tekst w języku obcym, chcąc nie chcąc, zastanawiają się nad tym, jak go przetłumaczyć, które elementy języka będą w tłumaczeniu bardziej kłopotliwe od innych itp.” Jako tłumacz w pełni potwierdzam to spostrzeżenie. Będąc tłumaczem z kilku języków romańskich (podczas gdy K. H. tłumaczy z angielskiego), dodam, że nie potrafię wyjaśnić, dlaczego np. w trakcie lektury tekstów polskich nasuwają mi się natrętne myśli o tym, jak dany fragment winien brzmieć a to w języku A, a to w języku B czy C. (Jaki specjalista może wyjaśnić, dlaczego tak jest? Pewnie neurofizjolog); 2) tę ze s. 60, na temat studentów, którzy tłumaczą dla... prowadzącego zajęcia z przekładu, zamiast dla nieznanego odbiorcy, którego „bagaż poznawczy” winni sobie wyobrazić.

5. W rozdziale na temat nieprzekładalności kulturowej jest mnóstwo trafnych mikroobserwacji, których nijak nie da się uogólnić:

5a. Ucieszyłem się, że K. H. przywrócił do łask zapomniany nieco termin *erudycja*. Ważny to element wiedzy tłumacza, również gdy chodzi o znajomość elementów „pochodzących z kultury trzeciej” (s. 84), czyli tkwiących w oryginale (język A, przekład to B) elementów języka i kultury C. Niedawno sam o tym pisałem, cytując m.in. polskie przekłady książek Barbary W. Tuchman, w których sporo jest terminów francuskich i odniesień do francuskich realiów, nieraz całkiem opacznie potraktowanych przez tłumaczy kompetentnych w angielskim. Nasuwa się postulat pod adresem tłumaczy: gdy widzisz elementy języka i kultury C, bądź podwójnie czujny, na wszelki wypadek szukaj od razu konsultantów;

5b. Praca K. H. przynosi z konieczności pobieżne streszczenie klasyfikacji metod tłumaczeniowych Vinaya i Darbelnet’a oraz Newmarka (s. 74 nn.), co może być pomocne tłumaczom, którzy pracują z innymi językami i nie mogliby się zaznajomić z oryginałami;

5c. Autor ma rzadki dar wplatania w tok obiektywnej narracji anegdot z własnej praktyki tłumacza w nierażący sposób, i przy tym podaje historyjki z puentą dokładnie takie, jakie przydarzają się większości praktyków. Oj, przydadzą się one w życiu studentom. Na przykład przygoda z dziełem: *Heaven. A History*, które Autor przetłumaczył, a następnie wydawca zbankrutował (a może po prostu zrezygnował z tytułu w obawie przed tzw. czynnikami, którą to wiadomość Autor zeufemizował?);

5d. Sporo uwagi poświęcono w interesującej nas książce przekładowi imion własnych (s. 85–95), a następnie toponimów (s. 99–104), i to w dwóch aspektach: 1) specyficznego „znaczenia” tych elementów, 2) „percepcji inności” („efektowi obcości” według wiekszościowej terminologii). Dodałbym aspekt trzeci, tym razem formalnojęzykowy: w wypadku przekładów na język polski jako fleksyjny, ważna jest kwestia odmiany (deklinacji) tych elementów, w której to dziedzinie nasi tłumacze stosują daleko idące dowolności, pomimo istnienia wydawnictw normatywnych;

5e. Autor nie zachłystuje się modnym obecnie badaczem z Stanów Zjednoczonych, Venutim, i jego polskimi wyznawcami, rekrutującymi się głównie spośród anglistów, za co należą mu się słowa uznania. Podpisuję się pod tezą, że „tłumacz nie ma prawa eliminować istotnych elementów wyjściowej kultury itd.”, zwłaszcza że uzasadnienie tezy jest niezwykle trafne. Jedna jest tylko nie całkiem błaha kwestia, w której mam nieco inne zdanie: „realia nie są zwykle dominującą wartością utworu literackiego” (s. 96) – otóż osobiście zdarza mi się czytać głównie powieści w językach obcych właśnie dla opisywanych tam realiów, o czym niedawno pisałem na przykładzie socrealistycznego pisarza rumuńskiego Zaharii Stancu, u którego zachwyca bogactwo realiów, niezależnie od całej reszty.

6. Nieprzekładalności kulturowej przeciwstawiana bywa nieprzekładalność językowa, toteż nią właśnie zajmuje się rozdział następny, przy czym Autor słusznie zauważa, że granica między tym, co językowe, a tym, co kulturowe, nie jest wyraźną grubą linią (s. 106). Choćby przykład cytowanej za Wojtasiewiczem chińskiej anegdoty: aspekt językowy łączy się tu z kulturowym, bo przecież pismo ideograficzne nie jest częścią języka. Pozostając w kręgu kultury europejskiej, można by analogicznie przywołać rebusy, jak choćby czcigodny już, bo przypisywany pruskiemu Fryderykowi II *venez dîner à Sans-Souci*. Autorowi udaje się w skrótovej formie przedstawić przy tej okazji tak obszerne zagadnienia, jak gry językowe i kalambury, idiomy, powiedzenia i przysłowia, neologizmy, zdrobnienia i piosenki (s. 106–118), co jest nie lada umiejętnością.

7. Wbrew np. Wojtasiewiczowi czy Lefevere’owi, K. H. nie ma zamiaru zajmować się tłumaczem ani przekładem idealnym, lecz opisywać tłumaczenia

realnie istniejące ze wszystkimi ich niedociągnięciami, które krytyk ma wskazywać, a teoretyk sklasyfikować i objaśnić. Tropiąc przyczyny pojawiania się błędów w przekładach, Autor ciekawie objaśnia wiele usterek, u których źródeł tkwią: 1) ekwiwalenty słownikowe, fałszywi przyjaciele tłumacza (od niedawna pojawiają się na świecie, *vide* belgijskie wydawnictwo Duculot, niezłe słowniki *faux-amis*, sam kończę pracę nad takim słownikiem dla francuskiego i polskiego) i kalki; 2) błędy mylnej interpretacji tekstu, które najlepiej opisywać właśnie w przyjętej przez K. H. perspektywie kognitywnej); 3) błędy realizacji, w tym zarówno błędy w języku docelowym (który najczęściej jest językiem ojczystym tłumacza), postawmy kropkę nad i: nieskorygowane przez redaktora wydawnictwa i widoczne w druku, jak błędy spowodowane ignorancją tłumacza lub też niewłaściwą oceną wiedzy odbiorców tekstu. Jeśli chodzi o błędy języka B (docelowego), nieoceniony K. H. nie przeoczył i tych, całkiem nowej proveniencji, które wynikają ze stosowania komputerowych autokorekt i *spell-checkerów*. (Odkąd taki programik pozostawił mi w tekście wszystkie użycia wyrazu „żądanie” jako „zadanie”, wyrzuciłem go i nie toleruję już na ekranie czerwonych wężyków); 4) ostatnia kategoria to błędy wynikające z nieznamości zasad tłumaczenia, zwane przez Autora metatranslacyjnymi, wśród których najbardziej zdradziecki polega na niepoprawianiu oryginału. Warto więc dobitnie instruować adeptów sztuki przekładu, iż krytycy wychodzą najczęściej z milczącego założenia, że „co złe, to od tłumacza, co dobre – od autora”, więc lepiej gdy tłumacz, zauważywszy błąd autorski, w zależności od wagi autora, tekstu czy samego błędu, powiadomi o tym odbiorcę. Na s. 149 mamy schematyczne podsumowanie błędów tłumaczeniowych wszystkich typów, powtórzone później raz jeszcze w wersji rozszerzonej na końcu książki (s. 168–169).

8. Ostatnim mitem, o którym traktuje odpowiedni rozdział, jest – mówiąc słowami recenzenta – mit łatwości tłumaczenia. Nieświadomie wierzą weń szefowie rozmaitych instytucji, każąc swym sekretarkom „po prostu przetłumaczyć tekst”: *Don't think so much, just translate it!* W dobie domniemanej powszechnej znajomości języków obcych nie przestają się dziwić, że nadal chodzą po świecie ludzie, którzy przynoszą niespecjalistom teksty fachowe do przetłumaczenia, najczęściej w dodatku na język obcy, nie ojczysty, i nie przyjmują do wiadomości, że „taki tekst winien przełożyć specjalista, a nie filolog”. Gdy wypowiem to zdanie, z góry wiem, co dalej: rozmówca będzie rozповідаł, że nie znam języka B, C czy D. Nie potrafi on bowiem zrozumieć, że tekst fachowy może być – i najczęściej jest – niezrozumiały dla laika nawet w języku A (ojczystym). Przykładową natomiast dziedziną, w której tekstów nie potrafię przełożyć na język obcy, nawet gdy je rozumiem w blisko stu procentach, jest prawo. Zacytuję tutaj krótki tekst, jaki przyniesiono mi do przetłumaczenia na

portugalski, czego zresztą dokonałem (!), nie rękując jednak za efekt: „*Potwierdzenie pełnomocnictw*. – Niniejszym stwierdzamy, że Konsulat Generalny RP w osobie urzędującego Konsula Generalnego posiada nasze pełnomocnictwo do reprezentowania nas przed sądami i administracją Republiki Brazylii w sprawie odzyskania i zabezpieczenia na naszą korzyść masy spadkowej po śp. Janie Kowalskim, zmarłym w Rio de Janeiro, 31.05.1987, a w szczególności do spieniężenia nieruchomości wchodzących w skład tej masy spadkowej po aktualnych cenach rynkowych i przekazania nam uzyskanych środków finansowych”. Nie ma prawniczych słowników polsko-portugalskich, dwujęzyczne słowniki ogólne, owszem, podają niektóre hasła obecne w zacytowanym krótkim tekście, słowniki zaś np. francusko-portugalskie podają ich nawet więcej – problem w tym, że podają one po kilka ekwiwalentów portugalskich, bez kwalifikatorów. Laik nieraz nie wybierze spośród nich właściwego, zdając sobie skądinąd jako filolog sprawę, że nie zachodzi między nimi pełna synonimia. I tak „pełnomocnictwo” to według słownika: *plenipotência*, *pleno poder*, oddzielone przecinkiem. Sam słyszałem natomiast tylko wyrażenie *plenos poderes*, w liczbie mnogiej. „Odzyskać” to *reaver*, *recuperar*, przy czym tylko drugi czasownik posiada odpowiadający mu odsłownik. „Masa spadkowa”: w słowniku jest tylko „masa upadłościowa” – *massa de falência*, „spadek” zaś to oczywiście *herança*, ale czy istnieje *massa de herança*? „Spieniężyć” – *reduzir a dinheiro*, *converter em espécies* (synonimy? syntagma portugalska i brazylijska, a może odwrotnie?, może po prostu *vender*, ‘sprzedać’?). „Nieruchomości” to *bens imóveis*, *bens de raiz*, czyli znowu problem ich ewentualnej wymienności znaczeniowej i kontekstowej itp., itd. Tak więc znajomość ogólnego słownictwa w obu językach nie wystarczy do dokonania fachowego tłumaczenia zacytowanego tekściku, konieczna jest kompetencja terminologiczna. Otóż K. H. wymienia (s. 154 nn.) wszystkie składniki kompetencji tłumaczeniowej, jakie zidentyfikował, jest ich osiem, w tym czwarta: „wiedza [ogólna i] specjalistyczna”. I w tym momencie po raz pierwszy częściowo nie zgadzam się z Autorem, który twierdzi, że „znacznie [...] łatwiej jest przygotować profesjonalnego tłumacza do tłumaczeń w danej dziedzinie niż nauczyć specjalistę z tej dziedziny tajników tłumaczenia”. Częściowo, gdyż powyższe twierdzenie bywa prawdziwe w odniesieniu do techniki *sensu stricto* oraz nauk ścisłych; sam K. H. pisze, i nie ma powodu w to wątpić, że dał radę przetłumaczyć teksty m.in. z dziedziny astronomii czy krystalografii. Jednak w przypadku pozostałych tekstów fachowych, np. prawniczych, teologicznych, z nauk pomocniczych historii czy technicznych *lato sensu* jak medyczne, sądzę, iż jest odwrotnie.

Wreszcie końcówka rozdziału VIII, a także podsumowanie, przynoszą sporo bardzo trafnych uwag końcowych, głównie związanych z dydaktyką przekładu.

I tak w zupełności się zgadzam z tym, że „kurs tłumaczenia winien rozpoczynać się dopiero wtedy, gdy studenci opanowali język obcy w stopniu naprawdę zaawansowanym” (s. 160), tak się zresztą na szczęście dzieje w znanych mi ośrodkach akademickich; z tym, że ucząc przekładu, winniśmy posługiwać się tekstami z wielu rozmaitych dziedzin na poziomie raczej popularnonaukowym niż ściśle fachowym. Na przykład, by pozostać przy tekstach prawniczych, należy raczej tłumaczyć sprawozdania prasowe z sali sądowej niż pracę doktorską na temat „małżeństwo i rozwód w systemie prawnym kraju X”. Osobiście prowadziłem zajęcia z przekładu przez wiele lat i nie potrafiłem udawać, że jestem, powiedzmy, prawnikiem-cywilistą, chirurgiem, znawcą siedemnastowiecznych militariów (zwykła szabla składa się, bagatelka, z trzydziestu elementów!) itp.

Książkę Krzysztofa Hejwowskiego będę gorąco polecał studentom filologii od III roku studiów, a w szczególności magistrantom na seminarium z tradukologii, wreszcie nawet doktorantom.

*Jacek Pleciński*  
(Toruń)